

HOFFMANN E.

T.

PIASKUN

Hoffmann E.

Piaskun

«Public Domain»

E. H. T.

Piaskun / H. T. E. — «Public Domain»,

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

I. Nathanael do Lotara	6
Конец ознакомительного фрагмента.	11

E. T. A. Hoffmann

Piaskun

Piaskun – tytuł polskiego tłumaczenia, stanowiącego podstawę niniejszej publikacji, brzmi *Człowiek z piasku*. Późniejsza tradycja utrwaliła jednak nazwę *Piaskun*. Piaskun, zwany też piaskowym dziadkiem, to postać z niemieckich baśni. Sypie dzieciom piaskiem w oczy, aby zasnęły.
[przypis edytorski]

I. Nathanael do Lotara

Pewnie jesteś niespokojny, że tak dawno nie pisałem. Matka musi się gniewać, a Klara myśli, że się tu bawię, zapominając o niej. A przecież nie ma dnia, nie ma godziny, żebym nie myślał o was wszystkich, a piękna twarzyczka mojej Klary wydaje mi się zawsze jak słodkie, uśmiechnięte marzenie, choć wiem, że naprawdę istnieje i że mnie z utęsknieniem wygląda. Doprawdy, nie wiem nawet, jak ci wypowiedzieć wrażenia, od których jeszcze w tej chwili zmysły mi się płaczą. Coś straszliwie dziwnego zdaje się targać wątek mojego życia. Ponure przeczucia jakiejś przeszłości pełnej grozy gromadzą się zewsząd koło mnie, podobne do nawału czarnych i nieprzenikliwych obłoków, nie dopuszczając ani płomyka jasności do skołatanej głowy. Jakimż słowy zdać ci sprawę z tego, co mi się w tych dniach zdarzyło? Umieć wiele wymóc na sobie, ale na samą myśl o tym, co ci mam opowiedzieć, słyszę we własnej duszy śmiech gorzki i szalony. O mój drogi Lotarze, jak ci tu dać pojąć całą okropność tego wydarzenia? Gdybyś przynajmniej sam na to patrzył, nie zadałbyś mi fałszu w oczy; ale z daleka wziąć mnie możesz za jasnowidza i szaleńca. Jednym słowem, wypadek, z którego wpływem złowróżbnym dotąd się jeszcze daremnie moczuję, jest po prostu następujący:

Dni temu kilka (stało się to 30 października), około południa, wszedł do mnie pewien optyk wędrowny, częstując mnie przedmiotami swojej sztuki. Nie kupiłem nic i zagroziłem mu nawet, że go wypchnę za drzwi. Na te słowa wyniósł się z dobrej woli.

Zgadujesz, że tylko pewne okoliczności, ściśle związane z moim życiem, mogą nadać niejakie znaczenie temu, tak z siebie powszedniemu wypadkowi, dowiesz się zaś niebawem, ile zgubnego wpływu wywiera na mnie osoba owego przekłętego włóczęgi. Potrzebuję niemało sił i władzy nad sobą, żebym ci mógł z jako takim ładem opowiedzieć jeden ustęp z wspomnień mego dzieciństwa; wyjaśni ci to całą okropność obecnego mego z tym człowiekiem spotkania.

Wyobrażam sobie, jak się oboje z Klarą śmiejecie z tej przedmowy. Co za dziecinada, mówicie z politowaniem. Śmiejecie się, proszę was; zartujcie sobie, ile wam się podoba, owszem, błagam was o to. Bo co do mnie, Boże wielki! śmierć gości w mojej duszy i jeśli wyśmianym być pragnę, to nie inaczej, jak Franciszek Moor¹, który się o to sam Daniela dopraszał. Przysnił mu się straszliwy obraz sądu ostatecznego i obudził się oszalały od trwogi. – Nieprawdaż, powiada on, że sny są wierutną nedorzecznością? Danielu, śmieć się ze mnie. Dlaczego się nie śmiejesz? – Panie, rzecze Daniel pełny trwogi, a Franciszek dodaje: – O, przez Boga, Danielu, powiedz mi, żem jest półgłówek. O mój dobry Danielu! Zaklinam cię na wszystko, śmieć się ty ze mnie!

Ale przystąpmy do rzeczy.

W dzieciństwie naszym nigdy prawie w ciągu dnia nie widzieliśmy ojca, niekiedy tylko jadał z nami obiad. Było rzeczą wiadomą, że obowiązki urzędowania zajmowały mu wszystkie chwile. Po wieczery, która stosownie do dawnego obyczaju bywała o siódmej, szliśmy z matką do pokoju ojca i zasiadaliśmy przy okrągłym stole. Wtedy ojciec palił sobie fajkę i popijał piwo z dużej szklanki. Często opowiadał nam dziwne zdarzenia i to z takim zapałem, że raz wraz gasła mu fajka. Do mnie zaś należało zapalać ją bezustannie, co czyniłem z wielkim upodobaniem. Niekiedy znowu dawał nam tylko do oglądania książki pełne obrazków, sam zaś siedział w krześle, milczący i bez ruchu, puszczając tak ogromne kłęby dymu, żeśmy się zdawali pływać w obłokach. Wtedy matka bywała smutna i zadumana, i skoro zegar wybił dziewiątą:

– Chodźcie już, chodźcie, dzieci, – mówiła do nas – czas spać iść, czas do łóżka. **Piaskun** idzie. Słyszycie?

W istocie, słyhać było wtedy kogoś idącego po schodach krokiem powolnym i ciężkim. Był to zapewne **piaskun**.

¹ Franciszek Moor – bohater dramatu *Zbójcy* Friedricha Schillera. [przypis edytorski]

Pewnego dnia głucho to stąpanie przstraszyło mnie bardziej niż zwykle, rzekłem więc do matki, podczas kiedy mnie wyprowadzała:

– Mateczko, co za jeden ten brzydki **piaskun**, co nas zawsze wypędza od ojca? Jak on wygląda?

– Nie ma żadnego piaskuna – odpowiedziała mi matka. – Kiedy wam powiadam: **piaskun** idzie, to znaczy po prostu: że wam się spać chce i że nie możecie więcej trzymać oczu otwartych, tak właśnie, jakby wam kto w nie piaskiem rzucał.

To objaśnienie nie zadowoliło mnie bynajmniej: wyobraziłem sobie tylko, że matka nie chce nas straszyć, ale że **piaskun** istnieje rzeczywiście, skoro go co dzień słyhać, jak idzie po schodach.

Dziwnie spragniony dowiedzieć się czegoś prawdziwego o nim i jego do nas stosunku, poczęłem raz wypytywać o to starą służącą naszego domu.

– **Piaskun?** – rzekła – To ty nie wiesz jeszcze, co to za jeden? To taki niegodziwiec, który przychodzi na zawołanie, kiedy dzieci spać iść nie chcą, i rzuca im garściami piasek w oczy, aż dopóki z głowy nie wyjdą; wtedy je pakuje do worka i niesie na księżyc dla swoich dzieci. Te zaś nie wyłażą nigdy z gniazda, i mają jak sowy ogromne dzioby zakrzywione, którymi łapczywie zjadają owe oczy, powydzierane nieposłusznym dzieciom.

Ten obraz okrutnego stracha z piasku niezmiernie utkwił mi w głowie. Wyobrażenia moja z dniem każdym dodawała do niego szczegóły, coraz bardziej przerażające. Odtąd, na sam odgłos kroków po schodach, drżałem i robiło mi się niedobrze. Żadne najczulsze słowa matki nie były w stanie uspokoić mojej obawy i na wszystko odpowiadałem tylko ze łkaniem: **piaskun!** Ja nie chcę **piaskuna**. Po czym uciekałem co prędzej do łóżka i, nakrywszy głowę, przez całą noc umierałem ze strachu, dręczony prześladowaniem widziadła nawet we śnie.

Z czasem sam własną głową zastanawiać się poczęłem nad tym, że objaśnienia starej sługi niewiele przedstawiały prawdopodobieństwa. Zawsze jednak **piaskun** przstraszał mnie niemało. Czułem dreszcz po wszystkich członkach, nie już od stąpania po schodach, ale słysząc jak się z trzaskiem otwierają drzwi pokoju mego ojca i jak ktoś do niego wchodzi. Niekiedy ten **ktoś** czas jakiś nie przychodził wcale, niekiedy znów bardzo często.

Trwało tak lat kilka i, pomimo że już podraastałem, ani podobna mi było oswoić się z tym wrażeniem. Obraz **piaskuna** nie dawał się zatrzeć niczym w świecie. Stosunki jego z moim ojcem dręczyły mnie coraz mocniej, a jednak za nic pod słońcem nie byłbym się odważył stawiać mu w tym względzie pytania. Opanowała mnie żądza wyjaśnienia tej tajemnicy własnym pomysłem i ujrzenia własnymi oczyma straszliwego widziadła; żądza ta wzmacniała się we mnie z biegiem lat. Przeczuwałem w tym cały świat tajemnic, dziwnych wpływów i zagadkowych cieni, który zgłębić wrywała się moja dusza. Lubiłem wprawdzie i dawniej opowiadania o czarownikach, wilkołakach i upiorach, ale od czasu jak mnie opętał **piaskun**, nie było stołu, ściany, szafy, na której bym go nie rysował bezwiednie kredą lub węglem, nadając mu rysy najosobliwsze, a zawsze bardzo straszne.

W dziesiątym roku życia przeniesiono mnie z izby dziecinniej. Matka przeznaczyła mi osobny pokój niedaleko. Zawsze o dziewiątej, tak jak i wprzód, ile razy dały się słyszeć kroki nieznajomego na schodach, trzeba się było wynosić co najprędzej. Z izdebki mojej słyhać było, jak wchodził do pokoju ojca, i wkrótce dolatywała mnie woń jakichś gęstych wyziewów, którymi niebawem wypełniał się dom cały. Wtedy budziłem w sobie odwagę, którą i tak już coraz więcej podsyciała żądza dowiedzenia się jakimkolwiek kosztem, kto to jest ten **piaskun**. Niekiedy po wyjściu z matką zakradałem się w korytarzu; zawsze jednak bezskutecznie. **Piaskun** był już zawsze u mego ojca, zanim zdążyłem stanąć na miejscu. Wreszcie, nie mogąc sobie dać już rady, wymyśliłem skryć się w pokoju ojca.

Pewnego wieczora milczenie ojca i smutek matki zapowiedziały mi znowu odwiedziny **piaskuna**. Udając zmęczenie, wymknąłem się przed dziewiątą i zakradłem się w kącie tuż przy drzwiach. Zaraz zaskrzypiały drzwi od ulicy i ktoś zaczął powoli, ciężkim krokiem, iść po schodach. Podczas kiedy matka odchodziła z dziećmi młodszymi, ja, ostrożnie drzwi otworzywszy, wśliznąłem się nazad do pokoju. Ojciec siedział jak wprzód, tyłem ku drzwiom, milczący, nieruchomy,

zadumany. Przekonawszy się, że nie wie o niczym, schowałem się pomiędzy firankę i szafę od sukien, kroki zbliżały się ciągle. Idący pokaszliwał, chrząkał, szedł bardzo powoli, zdawało się, że nigdy nie nadejdzie. Umierałem ze strachu i niecierpliwości.

Wreszcie usłyszałem kroki już w korytarzu. Po chwili silnie uderzono w klamkę i drzwi się otworzyły z trzaskiem. Zebrałem całą przytomność i wytknąłem głowę, jak mogłem najostrożniej. Otóż i **piaskun** stoi na środku pokoju, blask świec w twarz mu uderzył. Cóż widzę! **Piaskun**, ów straszny piaskun, toż to nie kto inny, tylko stary adwokat Koppelius, często na obiad do nas przychodzący.

A jednak najbardziej przerażająca postać nie tyle mnie trwożyła, co ten przeklęty Koppelius. Wystaw sobie niewielkiego człowieka z szerokimi ramionami, ogromną głową, twarzą żółtą, jakby z piasku, krogulczym nosem oraz gęstymi, szarymi brwiami, pod którymi błyszcząły zielone, jakby kocie oczy. Wpadnięte jego usta otwierały się czasem do uśmiechu i wtedy szczękały w nich zęby, a na policzkach wykrawały mu się wypieczone, nie większe od złotówki rumieńce. Nosił on nieodmiennie suknię popielatą, staroświeckiego kroju, podobnie spodnie i kamizelkę oraz czarne pończochy i trzewiki ze sprzączkami. Małeńka jego peruka, ujęta w worek mocno skrępowany, sterczała z przodu, jak dwa skrzydła, z tyłu zaś jak ogon podniesiony w górę. W ogóle był okropny i odrażający, ale osobliwszy wstręt w nas pobudzały porośnięte włosami i guzowate palce tego człowieka; tak że uważaliśmy za rzecz do wyrzucenia, czego się tylko raz dotknął. Spozregł to, i odtąd wziął się obmacywać z jakiego bądź powodu ciasta lub owoce, które nam matka wydzielala przy obiedzie lub chowała na podwieczorek. Pobudzało nas to do ostatniej rozpacz. Robił podobnie z winem, któreśmy od ojca dostawali w dni świąteczne. Dotykał kieliszków, albo je brał i przytykał sobie do swojej szkaradnej, sinej paszczęki, śmiejąc się po szatańsku, kiedy widział, żeśmy się wzdrygali. Nie nazywał nas inaczej jak **robakami**. W jego obecności nie śmieliśmy nieledwie oddychać, przeklinając w duszy obrzydliwca, śmiertelnego naszego wroga, który się uwziął zatruwać nam wszelkie przyjemności życia. Matka zdawała się równie go nienawidzić. Ile razy się pojawił, traciła wesołość, stawała się zamyślona, posępna. Co do ojca, to ten wyraźnie uważał w nim jakąś wyższą istotę; skwapliwie uprzedzał wszystkie jego chęci, zdawał się nieledwie czytać w jego oczach. Niech tylko wspomniał przypadkiem o jakiej ulubionej potrawie, zaraz mu ją sporządzano; najrzadsze wina, najzbytłowniejsze łakocie, wszystko było na jego usługi.

Widząc w tej chwili owego Koppeliusa, uczułem straszliwe światło w duszy. Tak jest, on tylko jeden mógł być tym **piaskunem**. Tylko że nie było to już więcej straszdyło z bajki, wydzierające dzieciom oczy dla zjedzenia ich na księżycu. Nie, tym razem to jest okropne, niezmysłone widmo, wszędzie noszące ze sobą grozę, nieszczęście i zgubę doczesną i wieczną.

Byłem jak przykuty do miejsca. Jakkolwiek mogłem być dostrzeżony i, jak mniemałem, ukarany surowo, żadnym sposobem nie byłem w stanie głowy cofnąć z powrotem.

Mój ojciec przyjął przybysza nader uroczyście.

– No! Do roboty – zawołał tenże głosem chrypiącym, zdejmując suknię.

Ojciec, nie odpowiedziawszy słowa, zdjął także szlafrok i obaj wdziali na siebie długie szaty czarne. Skąd je wzięli? Nie mogłem dociec. Za chwilę otworzyły się w ścianie drzwi od szafy, to jest sądziłem dotąd, że istotnie były drzwiami od szafy; ale z nagła pokazało się, że stanowiły wejście do ciemnej jakiejś alkowy, wyglądającej jak czarna pieczara, na której środku ustawiony był piecyk. Zbliżył się do niego Koppelius i niebawem rozniecił płomień błękitnawy. Stało tam Bóg wie ile przyrządów po wszystkich kątach. Boże miłosierny, jakże mój ojciec wyglądał pośród tego wszystkiego. Jakiś straszliwy, konwulsyjny niepokój zdawał się tak dziwnie wykrzywiać jego rysy zwykle słodkie i szlachetne, że wyglądało, jakby miał na twarzy złośliwą maskę kusiciela szatana. Stał się nawet podobny do Koppeliusa. Ten ostatni tymczasem krzątał się nieustannie wokoło piecyka, mając w ręku rozpalone obcęgi, którymi wyciągał stamtąd bryłki jakieś iskrzące w gęstym dymie, a następnie kuł je na kowadle z wielkim pośpiechem i bardzo bystrą uwagą. Zdawało mi się, że

widziałem wokoło wiele porzucanych twarzy ludzkich, ale bez oczu; głębokie, czarne, straszliwe dziury zastępowały ich miejsce.

– Oczu! oczu! – wołał ciągle Koppelius, głosem zarazem głuchym i grzmiącym.

Przejęty niewypowiedzianym strachem, krzyknąłem i padłem na ziemię. W oka mgnieniu schwycił mnie Koppelius.

– Ach! przeklęty robaku – zawołał, zgrzytając. I porwawszy mnie w powietrze, rzucił na ognisko piecyka tak, że płomień zaczął mi zajmować włosy.

– Ach! Mamy przecie oczy, śliczne, wyborne oczy! – mruknął do siebie, biorąc w palce rozżarzone węgle, które się zabierał przytknąć mi do oczu.

Wtedy doskoczył ojciec i zatrzymał mu rękę.

– Mistrzu, mistrzu, zostaw mu oczy, nie bierz ich, zaklinam cię!

Koppelius wybuchnął okropnym śmiechem.

– Ha! ha! To niech je sobie ma wreszcie, ten łobuz, żeby mógł płakać co najwięcej. Ale za to zbadamy przynajmniej mechanizm rąk i nóg.

To powiedziawszy, schwycił mnie tak silnie, że mi trzasły wszystkie stawy. Zaczął mi wykręcać ręce i nogi, to tam, to nazad, to w tę stronę, to w drugą, cierpiałem okropnie, alem ani pisnął.

– Nie, to się na nic nie zdało, przedtem było daleko lepiej; cóż ty na to mówisz, stary?

Tak prawił Koppelius. Co do mnie, uczułem wokoło gęste ciemności, przebiegł mnie dreszcz i wkrótce nie wiedziałem już o niczym.

Kiedym się ocknął, matka stała przy mnie.

– Czy **piaskun** jest tu jeszcze? – szepnąłem.

– Nie, moje dziecko, poszedł już dawno, już ci nie zrobi nic złego.

Mówiąc to, uściskała mnie czule, ze łzami w oczach.

Koniec końcem, oto, co się pokazało w następstwie. Z przestachu dostałem niebezpiecznej gorączki, która mnie zatrzymała w łóżku przez kilka długich tygodni. Zapytanie moje było pierwszym słowem, które wymówiłem od czasu powrotu do rozumu, do zdrowia, jednym słowem – do życia. Pozostaje już tylko do opowiedzenia jeden z najstraszliwszych ustępów mojej młodości. Wtedy przekonasz się, Lotarze, że to nie jest żadne przywidzenie z mej strony, ale że istotnie coś większego zwiesza ponad moim życiem tę zasłonę chmur złowróbnych, której może nie zdołam przedrzeć do śmierci.

Koppelius nie pokazał się więcej. Mówiono, że się wyniósł z miasta.

Tak upłynął z rok może. Pewnego wieczora siedzieliśmy po dawnemu wokoło stołu. Ojciec był bardzo ożywiony i opowiadał rozmaite zajmujące szczegóły z podróży, które odbył w młodości. W tym uderzyła dziewiąta. Nagle drzwi od ulicy skrzypnęły na zawiasach i wkrótce ktoś po schodach iść zaczął krokiem ciężkim i powolnym.

– To Koppelius! – szepnęła matka, blednąc.

– Tak, to Koppelius – powtórzył ojciec głosem słabym i złamanym. Łzy błysnęły w oczach matki.

– Ależ, mój mężu – ośmieliła się zrobić uwagę – czyż to znowu powraca?

– Ostatni to już raz, przyrzekam ci. No, odejdź i zabierz dzieci. Idźcie spać, dobranoc wam.

Zdawało mi się, jakby mi kto zwał na piersi całe brzemię zimnych kamieni; tchu mi zabrakło.

Widząc to, matka wzięła mnie na rękę.

– Chodź, chodź, Natanaelu, chodź, mój mały.

Kiedyśmy już byli w sypialni, zaczęła mnie całować i pieścić.

– Uspokój się, uspokój, moje dziecko, mówiła, zmów pacierz, połóż się i zaśnij.

Ale dręczony niepokojem i niewypowiedzianą trwogą nie mogłem zmrużyć oka. Odrażający, straszliwy Koppelius uparcie stał przede mną, z błyszczącymi jak próchno oczyma, z drwiącym swoim uśmiechem. Na próżno się starałem oddalić od siebie to widmo.

Było już około północy, kiedy nagle rozległ się wśród ciszy huk niesłychany, jakby wybuch rozerwanego działa. Zatrząsł się dom cały. W tejże chwili przeszedł ktoś z łoskotem wzdłuż korytarza, zbiegł ze schodów i niebawem trzaśnięto drzwiami, wychodzącymi na ulicę.

– To Koppelius! – zawołałem przejęty zgrozą i wyskoczyłem z łóżka.

W tejże chwili usłyszałem rozdzierające krzyki rozpaczy. Poskoczyłem do pokoju mojego ojca, od którego drzwi zastałem otwarte. Wychodził stamtąd dym duszący.

– Ach! Nasz pan! Nasz dobry pan! – wołała służąca.

Tuż przed dymiącym ogniskiem, na podłodze, leżał trupem mój ojciec, mając twarz całą czarną i popaloną okrutnie. Wokoło niego płakały małe siostry i matka zemdląła.

– Koppeliusie! Przeklęty szatanie! Toś ty mi zabił ojca! – wołałem i straciłem przytomność.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.